Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 16. Poznań dnia 16. Lipca. 1838.

Literatura zagraniczna.

O ruchu i kierunku literatury Nowoczeskiéj.

(Artykuł napisany przez Prof. Purkinjego.)

(Dokończenie.)

Lecz nie tylko w krainie czysto naukowéj, ale i we względzie użytku i korzyści materyalnych, uzyskało obudzone życie narodu czeskiego daleko pewniejsze stanowisko; albowiem wydarzyły się rozmaite nowe przyjaźne okoliczności, z których mężowie znakomici korzystać nie omieszkali. Przy Muzeum czeskiem, założonem w r. 1818 w skutek odezwy owczasowego gubernatora, a obecnie ministra hrabi Kolowrata, wybrano późniéj z łona towarzystwa komitet do pielęgowania języka ojczystego i literatury, i uposażono go funduszem z dobrowolnych składek utworzonym, który się teraz już przeszło z $12\frac{1}{2}$ tysięcy złotych srebrnych składa, i ciągle wzrasta przykładną gorliwością ziomków. Skutki działań towarzystwa objawiają się widocznie, jużto, przez wydanie kilku poetycznych zbiorów na uczczenie ukoronowanych głów, s. p. cesarza i teraźniejszego monarchy, przez wydanie chronologicznéj tablicy dostojnych osób królestwa od najdawniejszego aż do teraźniejszego czasu, dokładne wydanie Lekarza domowego Paulickiego przez Ant. Jungmana, prawie zupełne ukończenie trzech tomów ogromnego Słownika czeskiego przez Jozefa Jungmana i starożytności sławiańskich Szafarzyka; jużto przez wydawanie czeskiego czasopisma Muzeum tak, iż sobie słusznie tuszyć można, że w stosunku powiększającego się udziału publiczności, działanie komitetu, zwłaszcza przy takiem mnóstwie materyałów, odpowie życzeniom troskliwych o wzrost krajowéj oświaty ziomków.

Inne jeszcze zjawisko i z innym duchem czasu styczność mające, pierwiastkowo z łona czeskiéj szlachty wynikłe, po którem spodziewać się możemy wpływu na dość ważną gałęź literatury, jest towarzystwo przeznaczone do ożywienia przemysłu narodowego. Rozwija ono coraz bardziéj dobroczynne działania, przez urządzoną w oznaczonym czasie wystawę rękodzieł, przez rozdzielanie medali w nagrodę, z napisem w języku ojczystym, dawniéj pogardzanym a teraz szanowanym i nawzajem zaszczyt przynoszącym, niemniéj jak przez redakcyą czasopisma technologicznego w obudwóch językach krajowych. Niemieckie wychodzi już od kilku lat, a jest, przy wychodzących tylu pismach tego rodzaju w Niemczech, prawie zbytecznem. Lecz czeskie długo oczekiwane, poczęło z przyczyn dość jawnych dopiero w przeszłym roku wychodzić. Pokazuje się tu uderzający przykład, jak koniecznem jest wykształcenie ojczystego języka na naukowy, jeżeli tenże ma służyć za organ ożywiający przemysłowego ducha narodu. Ludzie znakomitsi stanem i oświeceniem, powinni zaiste pozbyć się grubego przesądu, jakoby ich znajomość ojczystego języka i troskliwość oń poniżała, lub szczuplejszy im zakres działania naznaczała. Takie zaślepienie tamuje ogólną oświatę w narodzie, i ich samych tylko najbardziéj krzywdzi, których największą chlubą być powinno, kiedy podniosą ograniczonych do sfery własnéj wolności z powszechnem dobrem. Gdyby w skutek usiłowań wzmiankowanych mężów uczonych język nie został był naukowo dostatecznie przysposobiony do matematyki, fizyki i umiejętności przyrodzonych; natenczas niedorzeczną byłaby się wydała sama myśl zaprowadzenia w czeskim języku czasopisma, mającego na celu zaszczepienie ducha umiejętności w gałęziach przemysłowych. Teraz już znikła ta zawada. Już pracą niezmordowanego Presla wydana została przez towarzystwo przemysłowe obszerna technologia, którą za najniższą cenę, każdy nawet najuboższy rękodzielnik nabyć może; już tenże mąż znakomity wydaje wspólnie z innymi Dziennik czeski technologiczny. A tak otwarta jest droga narodowi w przyrodzonym języku myśleć, mówić i pisać o przedmiotach przemysłowych:

co dotąd wcale nie, albo tylko w obcym języku dziać się mogło. Niech opóźnienie to, tak hańbiące Czechów, będzie zarazem przestrogą, aby się nie kusić nauczać naród w obcym języku i chcieć rozszerzać nową ewangelią, materyalne korzyści zapowiadającą, innym sposobem, jak się prawdziwa ewangelia Ś we wszystkich językach opowiadana, rozszerzała.

Lecz i towarzystwo ekonomiczne, rozrządzające znacznym funduszem, niemniéj zaczyna pojmować swoje prawdziwe przeznaczenie. Jego kosztem wychodzić poczęło czasopismo, przeznaczone dla ludu wiejskiego i niższych rzemieślników krajowych. Przeświadczymy się nakoniec o źródle przyczyny, dla któréj szkoły przemysłowe w Czechach, prędzéj niż gdzieindziéj, (już w r. 1777) przez Kindermanna Schulstein (tytuł udzielony mu od Maryi Teresy) zaprowadzone, pomimo wszelkich przyrodzonych zdolności i przykładania się narodu, niemogły wydać takich owoców, jakie spostrzegamy w szkołach daleko późniéj, i dopiero na wzór naszych gdzieindziéj założonych. Nie będziemy już krępowali języka i umysłowych płodów, lecz budować będziemy na pierwszéj przyrodzonéj podstawie, co już w szkołach dla małych dzieci (po czesku zwanych opatrowny) w Pradze i po kraju założonych z radością spostrzegamy, i czego po zawięzujących się szkołach realnych tym bardziéj spodziewać się możemy.

Inną, że tak rzekę, zewnętrzną pomoc uzyskało kształcenie języka czeskiego przez skrzętne zabiegi naczelnika teatru pragskiego, Szczepanka (Sztiepanek), i przez łaskawe przychylenie się Stanów, które wyjednały dla czeskiéj Talii, jakkolwiek szczupłe, przecież pewne miejsce w teatrze królesko-narodowym. Odtąd przestaje ta gałąź oświaty narodowéj być wyłącznie tylko przedmiotem lubowników, a zaczyna się wznosić do prawdziwéj sztuki; odtąd rozwinął język przed uradowaną publicznością, w wystawieniu najwięcéj teraz ulubionych oper, swoje powaby muzyczne. Zdaje się tylko, że jakiś demon podobny do nieprzyjaźnego ducha gór karkonoskich, wpływa na te wszystkie usiłowania; bo już znowu chce zamilknąć opera czeska, aczkolwiek duch muzykalny narodu znalazł sobie otwarte pole, w nadzwyczajnie wielkiéj ilości pieśni na muzykę przerobionych, a nawet w operach grywanych po miastach wcałym kraju przez lubowników.

Pewniejszym ruchem zdaje się tworzyć i postępować umysłowe życie wśród duchowieństwa czeskiego, obudzane i utrzymywane czasopismem teologicznem czeskiem, dla duchowieństwa katolickiego przez konsystorz pragski od roku 1829 w poszytach miesięcznych wydawaném, do którego są przyłączone z postępem czasu wychodzić mające tłumaczenia ojców SS. Pismo to może, dzięki usiłowaniom teraźniejszego redaktora kanonika Peszyny, nazwać się, ze względu na uposażenie zewnętrzne i czystość języka, prawdziwie wzorowém. Wielki udział, już to piszących autorów, (nad 50) jużto czytających (do przedpłaty należało około 900 osób), rokuje temu obudzonemu życiu umysłowemu pełną słodkich nadziei przyszłość. Popęd ten jest tym ważniejszy dla Czech, że duchowieństwo tego kraju wywiera przez swoje przeznaczenie i stanowisko niepospolity wpływ na wychowanie teraźniejszych i przyszłych pokoleń, stanowi jakoby odziomek czytającéj publiczności czeskiéj i usiłuje uprawiać ojczystą niwę nauk, wydając z swego łona niemało znakomitych autorów. Życzyćby należało, ażeby czasopismo dla pedagogów »Przyjaciel młodzieży« przez Cyglera (Ziegler) redagowane, wzniosło się w krótce na stopień, na którym stoi pismo teologiczne; co tylko za pośrednictwem tegoż szanownego duchowieństwa uskutecznić się może. Nowego wzrostu literatury pedagogicznéj możemy się spodziewać po peryodycznych konferencyach pedagogów, za podnietą duchowieństwa w niektórych częściach kraju, a nawet w górnych Węgrzech, zaprowadzonych, zkąd i dla czasopisma niejeden użyteczny materyał wypłynie. Należy tu jeszcze uczynić w zmiankę o towarzystwie Świętojańskiem, do wydawania religijnych książek dla ludu, już od trzech lat dobroczynny wpływ wywierającem, które początkowo od jednego z księży założone zostało, najbardziéj zaś przez duchowieństwo, a w części i przez świeckich jest popierane. Kto zna umiarkowanego, oświeconego i prawdziwie religijnego ducha czeskich księży, ten jak najmocniéj cieszyć się będzie, że i na téj drodze znalazły się nowe środki i siły oświecenia, uszczęśliwienia i wzniesienia narodu czeskiego.

Czytanie pism zwyczajnych, sprawiających rozrywkę i nauczających, nabiera od kilku lat znacznego wzrostu, co za najistotniejszy dowód wspierania ze strony publiczności posłużyć może. Mianowicie starają się wydawcy o druk ile możności piękny, tak iż w porównaniu z dawniejszemi laty znaczny w tem widać postęp, i nowsze czasopisma i książki, śmiało z czasopismami i książkami innych oświeconych narodów Europejskich, co do zewnętrznéj ozdoby, porównać można.

Największą zasługę mają w téj mierze drukarnie Pospiszyła Spinki, Haasego i Neureutera. Słusznem

zapewne byłoby życzeniem, ażeby który z księgarzy językowi ojczystemu sprzyjających (są i przeciwnicy pomiędzy nimi), któryby mógł zawsze mieć całkowity zapas wszystkich dzieł czeskich w państwie Austryackiem (po Czechach, Morawii i Węgrzech) wychodzących, chciał podjąć się nie tak trudnego w obecnych okolicznościach wydawania ciągłego repertorium z potrzebnemi uwagami bibliograficznemi. Wszakże zaradza poczęści téj potrzebie Pijar Michl, przez wydawanie swego literackiego latopisma. Szkoda, że podobne przedsięwzięcie w Wiedniu, ściągające się do literatury wszystkich języków sławiańskich, zawiodło powzięte nadzieje, czyto, że było nad siły wydawcy, czyto, że go się nie szczerze jęto.

Gdyby ktoś z obcych, obeznawszy się dokładnie z ogólną teraźniejszą literaturą czeską, znając oraz literackie skarby innych narodów europejskich, a mianowicie Niemców i Francuzów, działanie i skutki tamtéj za maluczkie, jéj passowanie się za bezsilne, niepotrzebne, a nawet tamujące uważał; niechże nadewszystko nie zapomni o stosunkach i okolicznościach utrudniających. Wątek literatury czeskiéj tak został przerwany po wojnie 30letniéj, iż ją w nowszym czasie dopiero wcale na nowo tworzyć trzeba było, kiedy nawet książki z owych czasów po większéj części zniweczone, a te, które pozostały, chyba w ręku prywatnych osób się znajdowały. Nareszcie jedynym aż dotąd prawie środkiem osiągnienia wyższéj oświaty, tak w szkole jak i w życiu, jest język niemiecki i łaciński; ojczysta zaś mowa jest tylko jeszcze z koniecznéj potrzeby używana w szkołach tak nazwanych trywialnych. Jeżeli tu i owdzie uczą, stósownie do okoliczności, języka ojczystego, dzieje się to po większéj części tylko z szczególnych względów, z potrzeby lub z patryotyzmu; a jeżeli go uczą w wyższych zakładach, to zaledwie tyle poświęcają mu czasu, co językom obcym, francuzkiemu lub włoskiemu. Jeżeli przecież dość znaczna ilość indywiduów dochodzi do tego stopnia, że poprawnie, a nawet gładkim i płynnym stylem pisze w ojczystym języku, to najczęściéj tylko przez własną pilność, i coraz bardziéj wzmagający się zapał do czytania. Że szczególniéj ludzie ośmielili się pisać w ojczystym języku o przedmiotach naukowych z jakiegokolwiek wydziału, nie posiadając usposobienia szkolnego do tychże przedmiotów i nie umiejąc ich przeto należycie udzielić czytelnikom swoim; jest bez wątpienia zjawiskiem uderzającem i da się jedynie przez to wyjaśnić: że z jednéj strony, przy nadzwyczajném materyalném i formalném bogactwie, wewnętrznéj konsekwencyi w źródłosłowie i składni, niemniéj jak i przy giętkości sławiańskich języków w ogóle, a w szczególności i czeskiego, łatwo przychodzi autorowi oddać w swoim języku wyobrażenia, których nabył w języku obcym; tak jak z drugiéj strony czytelnik, który nie wyrzekł się jeszcze zupełnie języka ojczystego, znajdzie te wyobrażenia po niejakiem zastanowieniu równie zrozumiałemi, jak gdyby mu w naukowym języku wpojonemi były. Łączy się nawet do tego osobliwszy jakiś powab, który trudno opisać, i który porównać można z słodkiem poruszeniem umysłu, którego doznajemy, wracając po długiéj wędrówce do domu. Każde słówko jest jakoby nowo ożywione świeżością młodocianych wrażeń, a obrazy przedmiotów i pojęcia dotąd w obcym lub umarłym języku nabyte, teraz zaś ojczystym oddane, unoszą duszę, tak jak cacko zarzucone i znowu znalezione rozwesela dziecię. Czy więc mowa ojczysta ma zostać i zostanie na zawsze cackiem tylko dla Czecha? lub czy jest wyższe jéj przeznaczenie, i zostanie narzędziem wyższego rozwinięcia i głębszéj działalności, tak w kościele jako w rządzie, sztuce i umiejętności? Możnaby tu zaiste sięgnąć śmiałem okiem na przyszłość, albo raczéj wynurzyć z serca pochodzące życzenia, gdyby tego skromność prywatnego stanowiska dozwalała.

Czech ufny w potęgę losami jego władnącą, a która najlepiéj każde wierne do prawdziwego dobra zmierzające usiłowanie, ocenić potrafi, poświęca się z własnéj ochoty kształceniu ojczystego języka i nie da się odstręczyć zimnym kosmopolityzmem lub jednostronną niezgodliwą obczyzną, radośnie niosąc w ofierze owoce swoich obecnych usiłowań sprawiedliwszéj kiedyś potomności. *)

Literatura krajowa.

Poezya.

Obłok.

(Marzenie.)

I.

Widzisz ten obłok z śnieżnych run spojony
Zwolna od wschodniéj żeglujący strony,
Co jak spokojne cnotliwego życie,
Cicho po czystym upływa błękicie,
Zkądże on dąży i dokąd ucieka?

*) Artykuł ten napisany i przesłany redakcyi przez uczonego pr. Purkinje, będzie wstępem do doniesień i sprawozdań o płodach najnowszych literatury Sławiańskiéj, tj. których ten szanowny i sławny mąż redakcyi udzielać łaskawie, gotowym się oświadczył. *Przyp. red.*

Jakież go losy, jaka przyszłość czeka?
Może on, kiedyś cały świat zachmurzy,
Wszystko zniszczy, spali, zburzy;
Rykną gromy, deszcze luną,
Cale lasy, grody runą,
Świat się potopem zaleje:
Może też dzisiaj, może w téj godzinie,
Pierwszy go wietrzyk rozwieje,
I na zawsze zginie.

II.

Ileż on kształtów w swojéj brał podróży!
Ranek go przybrał w wdzięczną barwę róży,
I kiedy jeszcze w ciszy uroczystéj
Czekała wejścia tarczy dnia ognistéj
Niebios przestrzeń niezmierzona;
On w téj przestrzeni tak drobny, maleńki
Płynął sam jeden, jak zwiana zasłona,
Z jasnego czoła Jutrzenki.
Inną on teraz i co chwila inną
Przybiera postać, kształt i barwy zwodne;
Patrz, jak go swoją igraszką dziecinną
Kołyszą wiatry łagodne.
To go, jak żagiel na rozległem morzu,
Pędzą po wielkiem błękitów przestworzu;
To znów jak księżyc, gdy go mgła omroczy,
Śnieżnym się kręgiem po niebiosach toczy,
I jak on błyszczy z daleka.
To wreście w lekką zasłonę rozwiany,
Jak biały orzeł wichrami porwany,
Gdzieś tam z swą chwałą ucieka!
Nie takim będzie, gdy z wieczornym mrokiem,
Do kresu swego dopłynie zawodu,
I złotym zorzy oblany potokiem,
Uwieńczy bramę zachodu.
Strasznym on, krwawym blaskiem się rozżarzy,
Jak płomień gniewu na rycerskiéj twarzy;
Lecz wkrótce, jak ta mgła ciemna, wątpliwa,
Co wszelkie słoniąc wspomnienie,
Świetną nam przeszłość pokrywa:
Tak i on z nocną ciemniejąc pomroką,
Zgasłéj już gwiazdy pożegnne promienie
Mglistą zasunie powłoką.

III.

Miło jest na nim twemu spocząć oku,
Ścigasz go chętnie przez niebios przestrzenie;
Ale jak kiedy wdzięczne wieszcza pienie,
Wznosi się mocą boskiego uroku;
Poisz się, dziwisz, zachwycasz, bolejesz,
To łzy rozkoszy, to łzy żalu lejesz;
A jednak niewiesz, co tak piękne dzieło
W piersi wieszcza tchnęło;
Z jakich chwil, zdarzeń i losów kolei,
Z jakich wspomnień swéj młodości,
Z jakich ran serca, zwiedzionych nadziei
Tyle ci wywiódł piękności:
Tak i z tą chmurką, co tam w górze płynie,
Wzrok się twój bawi jedynie.
Lecz gdy z nim krąży po niebios błękicie,
Nie wiesz, nie pytasz, co mu dało życie;
Czyli jest szczątkiem strasznéj nawałnicy,
Czy się z wyziewów oceanu wzniosła,
Czyli z pożaru ogromnéj stolicy,
Czy też z pól krwawych wielkiéj bitwy wzrosła,
Czy wreście z hołdu błagającéj wiary
Palonéj niebu ofiary!
Ileż to może z téj ziemskiéj doliny
Łez, żalów w górne uniosła krainy!
Niejedna może nadzieja i chwała
Z płonnym dymem uleciała!
I gdy niejednem może szczęściem świata,
Gdzieś tam po górze płochy wiatr pomiata,
Nędzny śmiertelnik przykuty do ziemi,
Musi na nowo walczyć z losy swemi,
I znów te same przechodzić koleje,
I drugą życia przetrwonić połowę,
Aby mógł jakąś uroić nadzieję,
Skleić szczęście nowe,
Stwarzać to nigdy nieskończone dzieło,
By może znowu jak pierwsze zginęło!

IV.

Płyń, płyń z wiatrami, kołysz się łagodnie,
Lotny żeglarzu górnego przestworza!
Jakże ci musi być błogo, swobodnie
Te czyste, jasne przepływać tam morza.
O czemuż szczęsne wiatry cię nie zwiały
Z jakiéj tam prawdy dotąd zasłoniętéj,
Z któreyby ludy, króle dociekały
Szczęścia, pokoju tajemnicy świętéj!
Płyń, płyń, ulatuj okiem niedościgły,
Nad te groźne gór tych igły,
Co jak olbrzym niezmierzony,
Na całéj ległe krainie,
Aż tam się swemi ramiony
W podniebne gonią pustynie!
Trzeba ci, trzeba wysoko żeglować,
Aż pod szczyt nieba uciekać przed niemi;
Kto chce swą wolność zachować,
Niech się nie zbliża do ziemi.

M.

Irydion.

Z pomiędzy płodów piśmiennictwa z r. 1836. Irydion jako drama już dla swéj poetyckiéj formy na szczególniejszą zasługuje uwagę. Czytelnik, co go szybkiem i ciekawem przebiegnie okiem, nie odłoży z uczuciem wędrowca rozpływającego się na obfitych i rozkosznych dolinach Eufratu lub Arno, ale z uczuciem żeglarza, co na rozhukanéj fali niesiony nawą, głębokie nurtuje przepaście, albo wzniesion na bałwanie między życiem i śmiercią, jakoby najwyższy mistrz morza, jeszcze niebu zdaje się wydzierać władzę. Podobną ostatniemu jest dusza autora. Nasze drama nie wyszło z pod zimnéj ręki zgrzybiałego starca, ani z pod mądréj rozwagi dojrzałego męża,

ale raczéj poczęte w mękach i cierpieniach burzliwéj duszy młodzieńca, młodzieńca, co kielicha goryczy czerpnął aż ku dnu, wypróżnić go się nie ośmielił, a struty jadem, wraca z nową otuchą w spokojny przybytek, w jakim rodzima wiara tak długo z szczęściem go kołysała, odzywa się na nowo z sercem, w którem pierwotnego zarodka domowéj cnoty, ani nauka ani ludzie wykorzenić nie zdołali. Przemiarem cierpienia znękany, wylał z duszy wyrazy okrutnéj boleści i w zastósowaniu do upadającego starego Rzymu, do owych potwórczych zapasów czterowiekowego konania, zamyślił ją odmalować. Co tylko w sprośnéj osnowie sprzeczność tworzyć może, stanęło na przeciw sobie w Irydionie. Wszystko, co piękne, co wzniosłe, co cnotliwe, z odwróconem od świata obliczem, jakoby nieśmiało się ukazać, a przynajmniéj z skromnością uległości dąży do celu.

Z krwi dawnych mężów Hellady pochodził Irydion, po grecku wychowany, i po grecku życia kosztując, widzi całą obmierzłość zepsutego Rzymu, w którym żyje, gardzi podłym narodem zgrzybiałych Cezarów i gladiatorów, zemsta za niewolą jego ojczystéj Hellady pali mu łono, trawi się przemyśliwając, jakby ostatni cios zadać chwiejącemu się kolossowi. Nie pojedyńczych Rzymian ani imperatorów, ani konsulów, ani pretorianów z osobna; całą Romę Irydion nienawidził, żył tylko myślą gorącéj zemsty, tą zemstą tysiąc lat był nieśmiertelnym.

Heliogabal porywa Irydionowi siostrę. Mściwy grek nie opiera się gwałtowi, nie szemrze; owszem wyprawia ją, jakby przeznaczoną ofiarę, zaklina na pamięć ojca, w sercu rozpłomienia fanatyzm; nareszcie z licznemi dary sam ją Heliogabalowi odsyła. Zaledwo siostrę poświęcił, i jako narzędzie do dopięcia celu mu potrzebne naszrubował, przebiega cały Rzym, by wynaleźć, obudzić, z swą dążnością nierozdzielnie spoić wszystkie widoki osobistéj dumy, wszystkie zawziętości niechętnych imperatorowi dotąd tylko trwogą przytłumiane.

W Rzymie Heliogabala nietrudno było na nie natrafić. Jakoż i znalazł naprzód w Alexandrze Sewerze, bracie imperatora, daléj w Ulpianie, Nazareńczykach i w gladiatorach; ale jak niepodobna nadać jeden kierunek, w ogólny wpleść interes wszystkie żądze i życzenia rozmaitych ludzi; tak niepodobno było Irydionowi wszystkich niechętnych zupełnie sobie ujednać. Alexander pragnął upadku Heliogabala, lecz pragnął jak Rzymianin dumny, co tron Cezarów chciał osieść, a więc w dalszem istnieniu Romy, spełnienie swych życzeń upatrywał. Ulpian prawdziwy prototyp Rzymianina, nienawidził Heliogabala, wszystko ku jego upadkowi nastrajał, ale tylko za Sewera, tylko w Rzymie staro-prawniczem upatrując porę wyniesienia się, nie mógł jego zniszczenia życzyć. Nazareńczycy przeciwnymi byli Rzymowi: wiara ich z ówczesnemi stósunkami społeczności pogodzić się nie dawała, nie mogli przecież podać ręki Irydionowi, razem z nim miecza przeciw Rzymowi użyć; bo tylko słowem, tylko przekonaniem, cierpliwością i słodyczą przystało walczyć wyznawcom Chrystusa. Zdawało się, że przecież w gladiatorach znajdzie Irydion, czego gdzieindziej daremnie szukał; lecz i tu omylonym został. Niechcieli oni Heliogabala, niecierpieli go, nienawiścią oddychali przeciw obecnéj władzy; jednakże pochodząc od mężów, co kamienie węgielne wielkości Rzymu założyli, od mężów, których imiona w dziejach podbijającéj Romy jaśniały; tylko w dalszem życiu ojczystego miasta, w jego ciągłéj potędze, nadzieję lepszego bytu, wolności pokładali. W tem zawiedzeniu wszystkich nadziei Irydiona, w téj spólności życzeń, a razem różności celów, leży tragiczny moment, nieodmotany węzeł zniszczenia naszego dramatu. Opatrzony pierścieniem Heliogabala, na którym dla lepszego dokonania swego zamiaru, pełnomocnictwo groźbami i obietnicami wymógł, wydaje Irydion rozkazy i tym, co go jako namiestnika imperatora słuchali, i tym, których jedność celu z nim łączyła. Wszystko zdawało mu się sprzyjać. Fortuna z otwartemi rękoma naprzeciw niemu wybiegła. Ostatnia godzina Romy co tylko wybić miała. Piekielną rozkoszą na téj uczcie zemsty opiły Irydion, od siebie prawie odchodził, serce topniało w żarze. Na raz odkryły się wszystkie namiętności, każdy wystąpił, by swemu interessowi dogodzić. Słabsi na odwadze do nowego Cezara przeszli, mocniejsi duszą polegli. Irydion, by nasycić swą zemstę, łżył Romę, na całe jéj dzieje okropnemi plwał przekleństwy; a kiedy na stósie gorejącym miał ducha wyzionąć, albo głowę dać pod topór liktorów, porwany został przez Massynissę i na wzgórza po nad Rzymem zaniesiony.

(Dokończenie nastąpi.)

Pieśni wieśniacze z nad Niemna, Wilno 1837.

(Dokończenie.)

Człowiek, poeta, mieszkaniec podniebnéj ziemi śpiewa pytając:

Klonowy listku, jako ty polecisz,
Czy w góry lub doliny

W zieloneli polecisz
Krzewiny?
I sam ja niewiem, kędy wiatr powieje,
I kędy mię poniesie
Po górach lub dolinach
Czy lesie?

Człowiek, sztukmistrz, poeta pokojowy, po krótkiéj rozwadze, sili się mu odpowiedzieć, i dać do zrozumienia, że listek tam, gdzie lubi:

Strumyk lubi w dolinie,
Sarna lubi w gęstwinie,
W gaju lubi ptaszyna;
Lecz dziewczyna dziewczyna,
Lubi, gdzie niebieskie oko,
Lubi i gdzie czarne oko,
Lubi, gdzie wesołe pieśni,
Lubi i gdzie smutne pieśni,
Sama nie wie, gdzie lubi,
Wszędzie serce znajdzie (lub) zgubi.

Karpiński, poeta kochanek czuje, że ten listek klonowy upadnie tam, gdzie go pociągnie przeznaczenie moralne, boskie, tam gdzie płynie i rzeczka mała, która »niesie dań królowi swemu«

Wody od morza dostała,
Niesie ją morzu swojemu.

Prawda i szczerość bez namysłu płynie w pieśni jako zdrój wody. Śpiewak nie ma zamiaru zwrócić uwagi słuchaczy ku sobie, przyciągnąć ich, podejść i zadziwić, uczyć ich niejako zrozumienia siebie i swéj pieśni przez przygotowania, przechody wyjaśnienia, wykrzykiwania: słuchajcie, słuchajcie! jako czynią uczyciele, kuglarze i sztukmajstry. Słuchacz piosnki wieśniaczéj, czuje w sobie dopełniającą się jakowąś tajemnicę czarów, i odbiera dar rozumienia języka całéj natury, zwierząt, ptasząt, lasów, rzek i t. d. widzenia rzeczy niepokazanych ani wymienionych, słyszenia osób milczących.

Wyjdę wśród uliczki,
Już żyrują byczki. Jerzy, Jerzy!
Byczki już igrają
Wiosnę przeczuwają. Jerzy, Jerzy!
Zaszumiały wody,
Popłynęły lody etc.
Zaczerniało pole,
Zaorane role,
Brzozy się zielenią,
Pączki w liść się mienią.
Po wesołym lesie
Głos się ptaków niesie;
Trawki się podjęły,
Kwiatki zakwitnęły,
Pojdę ja kwiateczki
Zbierać na wianeczki
Będę wić wianeczki
I śpiewać piosneczki. Jerzy, Jerzy!

Cudownie wydana świeżość, lekość, radość, ruchawość, przezroczystość dziewczyny wiosny. I młodsza i milejsza jest ona, niżli Wiosna sztukmistrzyni Drużbackiéj, co:

dziś urodzone
Straszy śniegiem trawki.

Sama Taglioni tak chyżo nieprzebieży z ulicy na brzeg rzeki, ztąd na pole, do ogrodu, daléj do gaju, ztamtąd na łąkę, ledwo dotknęła trawki, kwiatków broń Boże nie zdeptała. Jak ta moja dziewczyna, ożywiona tajemnem przeczuciem szczęścia powszechnego, uskrzydlona nadziejami. Nie leci ona jako ptaszek, bo uważnie usłyszała, ujrzała wszystko, co znamionuje nowe życie natury. Sam przyśpiewek i zwrotki dwuwierszowe, dziwnie do odmalowania chyżości jéj dopomagają: niewyprzedzi jéj Jerzy, do którego się odzywa, święty wódz korowodu, niosącego ludowi Bożemu wonności, kolory i przysmaki życia, wódz choru śpiewającego muzykę wyswobodzenia ziemi od zimy, muzykę zdrowia i miłości. Nie cięży jéj żadna przygoda lub żałość jako dziewczynie w »Kwiatkach«, która od wiosny

Chce by kwiatki jéj wydała,
Co na grobie matki siała,
Polewała łzami. (pieśń siels.)

lub jak ukochanemu naszemu poecie, który w prześlicznéj piosnce woła:

O wiosno pokiż będę cię prosił,
Gospodarz zewsząd stroskany,
Jużem dość ziemię łzami urosił;
Wróć mi urodzaj kochany.

Taka jest Wiosna wieśniacza: obaczmyż wiosnę szlachecką piosnek sielskich, szkolną, miejską. Stawi ona obraz przedziwnie prawdziwy, jednak tak nie miły, jako widok ziółka bladego wśród uduszających ciemności lochu wyciągającego się do szczelin światła i ciepła napowietrznego. Człowiek i tu jest stworzeniem bożem, a przecież ni młodzieniec ni dziewica, słabe od zimy, głodne wiary i miłości, wychodzi bez pobudki i celu i wlecze się; wysyła oko (naprzód) samo tylko jeszcze wesołe, latać po błoniu, a samo zaledwo ujrzało kropelkę rosy, usłyszało mruczenie zdroju, i dzwonek jałowki; już znużone, usiada pod skałą, i opiewa sobie, ale i na to nie ma siły, czy przedmiotu, ustroń zostaje cicha; łza mu wybiegła, więc przestaje na słuchaniu śpiewu strumyka i skowronka, który się do niego odzywał, dopóty, póki nie zginął w obłoku, szczęśliwy! jaka szkoda wdzięcznych słówek, miłych wierszy, łatwych zwrotek, wybornego talentu i urozmaiconéj sztuki poety, na malowanie i wyśpiewanie takiego ledwo dyszącego przedmiotu. Sztukmistrz ileż miał trudów, jakie zagadnienia niepodobne brał do rozwiązania! może nigdy niezdołamy wydać kolorytem głosu, dźwiękiem rumieńca, słowem postaci człowieka; a tym bardziéj cóż można zrobić z mieszaniny tego wszystkiego? Porównajmy słowo w słowo, wiersz w wiersz, zwrotkę ze zwrotką pieśni sielskiéj

i wieśniaczéj i postawmy je obok siebie; a jeśli się zakochamy, to tam w poecie, potrosze rysowniku, muzyku, tancerzu, filozofie, romantyku razem, a tu w szczeréj prawdzie i piękności samego przedmiotu pieśni.

T. P.

Przegląd pism.

Pamiętniki o królowéj Barbarze, żonie Zygmunta Augusta. Przez Michała Balińskiego. Tom pierwszy. W Warszawie. 1837. Z piękną ryciną królowéj Barbary, na miedzi rytą, z współczesnego obrazu dotąd w Nieświeżu zachowanego.

(Ciąg dalszy.)

Król, zapalony gwałtowną namiętnością, nie tail daléj uczuć swego serca Barbarze. Wypadły ztąd tajemne schadzki, ułatwiane bliskością zamku z ogrodami Radziwiłłowskiego pałacu. A chociaż w tak częstém na osobności dwóch kochanków widywaniu się, granice przystojności i wzajemnego poważania, nie były przestąpione; szmer jednak tych miłostek królewskich rozchodził się szybko po wszystkiéj ziemi Litewskiéj i Polskiéj. Co większa, zazdrość odepchniętéj szlachty, wreszcie bojaźń większego jeszcze wzrostu Radziwiłłów, targnęły się na niewinność Barbary, i dobréj sławie, zalotnéj wprawdzie, ale skromnéj wdowy uwłaczać zaczęły. Tymczasem matka jéj, która skrycie niczego tak nie pragnęła, jak widzieć Króla u stóp swéj córki; która nawet idąc za przesądem swych wieków, do magii się uciekała, aby dla córki serce jego pozyskać, uznała, że czas jest położyć koniec tajemniczym związkom, lub ściślejszym je i prawym węzłem umocnić.

Kiedy już rzeczy tak daleko zaszły, Mikołaj Radziwiłł, podczaszy Litewski, brat rodzony Barbary i drugi Mikołaj także, brat stryjeczny, po domowéj naradzie z matką, udali się pewnego dnia do Zygmunta Augusta na zamek, i tam z pokorą, ale razem z powagą i mocą błagali go, żeby przez wzgląd na sławę ich domu i spokojność siostry, przestał u niéj bywać. Bolesne było tak niespodziane oświadczenie młodemu Królowi, przyrzekł wprawdzie, że noga jego odtąd już w domu ich nie postanie; ale nie mógł powiedzieć tego, czemu się serce wyraźnie sprzeciwiało: że przestanie kochać Barbarę.

Wieść dawna niesie, że potajemne schadzki Zygmunta z Barbarą nie ustawały nigdy. Rosła, jak zwykle bywa, miłość z powiększeniem się przeszkód, tak, że nakoniec rozkochany August niczego już więcéj nie pragnął, jak tylko uwieńczenia jéj ślubem małżeńskim. Małżeństwo potajemnie między Augustem a Barbarą ułożone zostało i dzień ślubu naznaczony. Głęboka jednak tajemnica pokrywała zobopolną umowę; bracia nawet Barbary nic o niéj nie wiedzieli.

Tym czasem piękna wdowa, mimo starannego ukrywania zamiarów swoich, musiała przed dopełnieniem aktu ślubnego, szukać sposobów na zaspokojenie nadzwyczajnych wydatków z téj okoliczności wyniknąć mających. Świadectwo tych potrzeb zostało dotąd w autentycznym jéj obligu, danym niejakiemu Panu Piotrowi Iwanowskiemu, bogatemu zapewne obywatelowi Wileńskiemu, zachowanym w Archiwum Radziwiłłowskiém. Jakiś pan Kondrat, może sługa, może jedyny powiernik Barbary, ułatwił tę pożyczkę, i odebrał z rąk ostrożnego kredytora pieniądze, który takiéj nawet piękności tylko za znacznym zastawem zbiory swoje powierzał. Oblig ten jest następującéj treści:

»Ja Stanisławowa Gasztowtowa, Wojewodzina Trocka, Barbara Radziwiłłowna, wyznawam sama na siebie, tym moim listem, że pożyczyłam ku swojéj pilnéj potrzebie u pana Piotra Iwanowskiego, przez ręce pana Kondratowe sto kop groszy i dwadzieścia kop groszy i ośm kop groszy (3072 Złotych polskich) i ośm miednic miodu (miednica zawierała garcy 12): w którychto pieniędzach zastawiliśmy jemu łańcuch złoty, ważący dwieście złotych i dwadzieścia złotych i siedm złotych Węgierskich (wynosi 3632 złot. pol.) i dwa czapraki pozłociste, ważące po trzynaście grzywien; przyrzekając bez wszelkiéj szkody jego i omieszkania te pieniądze oddać na Boże Narodzenie, i na to daliśmy jemu ten nasz list pod naszą pieczęcią. Pisan w Wilnie pod lato Bożego Narodzenia 1547. miesiąca Septembra 10. dnia.«

Barbara żona Zygmunta Augusta 1547—1548.

Ku końcowi Września roku 1547. w piękną noc, tak zwyczajną u nas na północy, trzy osoby osłonione opończami wyszedłszy z małéj fórtki zamku Wileńskiego, z największą ostrożnością przemykały się po za murami, kierując swe kroki ku ogrodom pałacu Radziwiłłowskiego. Księżyc świecąc mile, odsłaniał postaci idących. Jeden z nich, którego inni zdawali się być towarzyszami tylko, młodzieniec subtelny w sobie, ale wzrostu wyższego niż mierny, wiele miał słodyczy i wdzięku w twarzy pociągłéj i melancholicznéj. Obok téj głównéj osoby szedł mężczyzna średniego wieku z włoska ubrany, w którego postawie wydawała się przyzwoita uległość wysokiego urzędnika dworu, połączona z dostojnością wielkiego pana. Poprzedzał obu w pewnéj odległości, jakby przez ostrożność na czaty wyprawiony trzeci mężczyzna; a w jego żywém i chytrém spojrzeniu, w układnéj i pokornéj postaci, widać było całą przebiegłość wytrawionego w swoim rzemiośle dworaka. Pierwszym z 3 osób był Król Zygmunt August, drugim Stanisław Kieżgałł, Stolnik wiel. Lit., Hrabia na Krożach, szwagier Mikołaja Radziwiłła Czarnego. Trzeci nakoniec był to ów osobliwszy wzór dworaków, Stanisław Dowojna. Wszyscy trzej stanęli prędko u bocznych drzwi, prowadzących do komnat Wojewodziny Trockiéj, a Zygmunt August znalazł się wkrótce obok ukochanéj Barbary. Ale czujni Radziwiłłowie, strzegąc z wielką pilnością wszystkich postępków królewskich względem swéj siostry, skoro się tylko o przybyciu Króla dowiedzieli, natychmiast przed nim stanęli: »Przyrzekłeś, miłościwy Królu,« mówili obadwa bracia, »że już więcéj u siostry naszéj bywać nie będziesz; dla czegoż więc przyrzeczenia nie dotrzymujesz?« — »A cóż wiecie,« ozwał się Król z powagą, »może teraźniejsze moje przyjście największą wam sławę, cześć i pożytek przyniesie!« »Daj to Boże,« zawołali Radziwiłłowie; a wtenczas Król oświadczył im swoje niecofnione postanowienie zawarcia związku małżeńskiego z ich siostrą. Do czego wezwany najbliższy proboszcz tegoż samego wieczora jeszcze pobłogosławił tkliwą tę parę. Największa jednak tajemnica pokrywała ten obrządek uroczysty: nikt nie był wtenczas obecnym jak tylko matka Barbary, jéj bracia, stolnik wielki Kieżgałł i kapłan, który ślub dawał. Jakoż najtroskliwsze ukrycie przed światem tego śmiałego czynu młodego Króla, coraz mocniej czuć się dawało. Wszystkie bowiem niebezpieczeństwa groziły zewsząd temu związkowi. Gniew rodziców, przestąpienie praw korony, a ztąd cięższa obraza troskliwéj o nie szlachty polskiéj, zawiść nakoniec panów litewskich, nieprzyjaźném okiem widzących wzrost coraz większy domu Radziwiłłowskiego: były to skały, o które najmężniejsze nawet postanowienie rozbić się mogło. Najdotkliwiéj jednak wzruszała serce królewskie bojaźń zasmucenia czcigodnego ojca.

Wśród chwil błogich, które August przepędzał obok celu swéj miłości i ofiar, zbliżał się sejm koronny, który po długiéj przerwie bezsejmowéj zwołał Król Zygmunt stary w miesiącu Grudnia 1547. do Piotrkowa. Trzeba było nań jechać koniecznie Augustowi, raz, żeby odwiedzić troskami rządu i laty pochylonego ojca, a przytém z obowiązku dostojeństwa swego być obecnym na obradach krajowych; drugi raz, żeby wiedzieć, jakim sposobem i kiedy odkryć utajone małżeństwo. Trzeba więc było opuścić na niejaki czas ukochaną Barbarę, i o sto mil od niéj stawić mężnie czoło tysiącznym przeciwnościom. Nie zdało się jednak ani Królowi, ani braciom Barbary pozostawić ją w Wilnie. Może bojaźń

łaciniejszego wyjawienia tajemnicy wśród ciekawego gminu stolicy, może większa sposobność ubezpieczenia jéj osoby na ustroniu od nieprzewiedzianych zamachów nieprzyjaciół, a może tylko prosty wzgląd na przywoitość i zdrowie, skłoniły Augusta do tego, żeby Barbara mieszkanie swe na wieś przeniosła.

Jest w głębi Litwy o 7 godzin drogi od jéj stolicy znaczna góra, ze wszech stron oblana pięknem jeziorem. Na niéj w 16stym wieku wznosił się mało przystępny z położenia swego zamek Radziwiłłów Dubinki. Imie Dubinek zachowało się dotąd, ale zamek zniknął od dawna, jak olbrzymia potęga familii, która z niego część swojéj wielkości brała. Widok z góry, na któréj wznosił się niegdyś ów zamek, jest zachwycający. Oko ciekawego wędrownika ogarniając w około ubarwione różném zbożem łany, po zagięciach żyznych gór rozciągające się, spoczywa mile na brunatném tle dębowych lasów, które w pewném oddaleniu okrążają cały prawie horyzont.

Do takiego to ustronia we czwartek dnia 19. Listopada o godzinie trzynastéj a po naszemu o siódméj rano wyjechała z bramy pałacu Radziwiłłowskiego z Wilna poszóstna kolebka, a za nią inne powozy, udając się przez Antokol zwykłym traktem Dubińskim. Siedziała w niéj smutna i zapłakana Barbara, obok matki starającéj się ukoić córkę; daléj jechali Podczaszy Radziwiłł i Dowojna, sprawujący niejako obowiązki ochmistrza dworu. Król wyjeżdżając na Knyszyn do Piotrkowa zalecił był obu, żeby już we środę jechali z Barbarą na miejsce przeznaczenia; ale dla wielkiego osłabienia z żalu i płaczu, aż nazajutrz i to z wielką ciężkością podróż odbyć można było. Droga sama z siebie zła i dla większych powozów przykra, bo wtenczas najwięcéj konno odbywano podróże, zaledwo podobną była do przebycia w najgorszéj porze roku. Ztąd podróżni nasi po całodziennych trudach ledwo około dziesiątéj godziny wieczorem zdołali stanąć w Dubinkach. Skutki rozłączenia się z Augustem i téj krótkiéj wprawdzie, lecz utrudzającéj podróży, fatalne były dla Barbary, a może i dla całego kraju. Czule kochająca męża, a po jego oddaleniu cała oddana rozpaczy, ciągle we łzach tonąc prawie, z tak gwałtownego wzruszenia, uroniła przedwcześnie owoc miłości i ciężko zachorowała.

Zygmunt August stanął na początku Grudnia w Piotrkowie; a że go już poprzedziła wieść, jakoby się miał ożenić z Barbarą, Król Zygmunt stary wziąwszy syna do swego pokoju, pytał na osobności o prawdę. Nikt nie wie, jak odpowiedział ojcu; nie znać jednak było na obliczu starca żadnego frasunku, co dowodzi, że nagle zagadniony nie przyznał się od razu. Wśród tak trudnych okoliczności, tę przynajmniéj znajdował pociechę, że o zdrowiu żony częste wiadomości od jéj brata i od Dowojny odbierał; a jeśli kiedykolwiek, dla nieurządzonéj jeszcze w owym wieku poczty, dochodziły go leniwo, nie zaniedbał im tego wymawiać. Z jednéj odpowiedzi Dowojny dowiadujemy się, jak Barbara w niespokojnym smutku swoim po odjeździe Augusta, w modlitwie, jałmużnach i umartwieniu, szukała codziennéj ulgi i pociechy. Już przed świtem każdego rana, w ubogą szatę reguły Bernardyńskiéj obleczona, błagała niebios w kościele zamkowym o zdrowie drogiego sercu małżonka, a potém hojnie opatrując z własnych rąk ubostwo, zwracała smutno powolne kroki tam, gdzie nie było żadnéj pociechy dla jéj zbolałego serca.

(Dokończenie nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Wychodzi z druku w Warszawie 1sza część dzieła: Sztuka urządzania gospodarstw wiejskich, poprzedzona krótko zebraną nauką gospodarstwa wiejskiego przez N. Kurowskiego. Wydanie 2gie powiększone i zupełnie przerobione z rycinami i tablicami. Całe dzieło, około 75 arkuszy obejmujące, wyjdzie za kilka miesięcy, cena zł. 40.

W Wilnie wyszły z druku w ostatnim czasie:
Anakreonki, komedya Nikodemek p. Hr. Marcina Krasickiego.
Rozmaitości, fraszki, czyli co się komu podoba p. Hr. Marcina Krasickiego.
Dumy filozoficzne i rozmaite przez Hr. Marcina Krasickiego.
Wizerunki i roztrząsania naukowe, Nro. dwudziesty pierwszy 1838.
Obrona Izraelitów przez Rabi Manasse ben Izrael czyli odpowiedź tegoż dana uczonemu Anglikowi na kilka jego zapytań względem niektórych zarzutów Izraelitom czynionych, np. że potrzebują krwi chrześciańskiéj do jakiegoś obrzadku religijnego przez T. Tugendholda. Efes Damisz t. j. niełrzeba krwi, czyli obrona żydów od obwinienia, że krwi chrześciańskiéj używają w święto paschalne.
M. T. Cycerona rozprawa o stylu, pod tytułem Orator z przyłączeniem mowy za prawem Manliusza z łacińskiego na polski język przez Klemensa Żukowskiego przełożona.

W Petersburgu wyszła: »Amerykanka w Polsce«, Romans. Część druga, 1837.

We Lwowie wyszły dwa ważne dla literatury dzieła to jest: Pisma Seweryna Goszczyńskiego, Tom I., zawierające Zamek Kaniowski i poezye liryczne z przedmową autora, 1838 u Pillera.
Pieśni ludu polskiego w Galicyi zebrał Żegota Pauli, Lwow 1838 u Jabłońskiego. (O obydwóch tych dziełach zdana będzie w następujących numerach obszerniejsza sprawa.)
Prócz tego jeszcze:
Pięćdziesiąt krótkich i ciekawych (niebardzo) historyj dla młodzieży we Lwowie, 1838 u Jabłońskiego. Nie wiele warto!
Mały Komeniusz w trzech językach. Lwow 1838, u Pillera. Także spekulacya księgarska bez wartości.
O warzeniu piwa i uprawie chmielu, przez Ferdynanda Neuhofa, rękopism niemiecki autora przełożył na język polski S. K. Lwow 1838.
Tegoż samego P. Neuhofa wyszło dziełko: o wypaleniu wódki z 9 rycinami rozmaitych aparatów gorzelnianych Lwow 1838.

Errata.

W 13tym Tyg. w ułamku z poematu Podrzutek wkradło się kilka sens psujących błędów drukarskich, o których poprawienie czytelników upraszamy:
Str. 104. kol. 2 wiersz 4 zamiast: Stoi samo kwieciste nadbrzeżne podnoże powinno być: I to samo etc.
Tamże w. 8. Podmuchami zamiast Podmrukami.
» w. 11. w przeczystym zamiast w przeszłym.
» w. 12. dwie fale zamiast duże fale.
» w. 42. gdybym w twem łonie zamiast gdym w twem łonie.
Tamże ma być na str. 99. kol. 2. w. 36. zamiast silny orkan — wisny arkan.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*